Fot. CAF — A. HAWAŁEJ

KRYSTYNA JANDA

● Andrzej Wajda powiedział kiedyś o Pani: „Janda w kostiumie? To nieporozumienie. Ona może grać tylko kobiety współczesne".

— Tak powiedział? Gdybym o tym wiedziała, natychmiast przyjęłabym jakąś rolę kostiumową!

● Zatem bardzo liczy się Pani z Jego zdaniem?

— Tak, ale i ze zdaniem Aleksandra Bardiniego, Krzysztofa Kieślowskiego, Marka Piwowarskiego. Nawiasem mówiąc, zagrałam w pięćdziesięciu filmach. Były i role kostiumowe.

● „Krystyna Janda" — przedstawiano Panią w Cannes. Wcześniej mówiono „Krystyna Janda, aktorka Wajdy, Kieślowskiego". Na ile te osoby stworzyły Panią? Do jakiego momentu poddawała się Pani ich sugestiom i przekonaniom. Chodzi o samoświadomość artysty. Czy z tym się człowiek rodzi, czy to się nabywa?

— W Polsce nie ma agenta, menedżera, który by za mnie myślał — jak mam wyglądać, co i jak powinnam grać. Decyzje podejmuję sama. Jestem więc autorką własnej kariery. Wykonuję zawód, podlegający ocenom i te oceny w jakiś sposób też mnie kształtują. Cały zespół, z którym pracuję, ma wpływ na to, jak wyglądam i jaka jestem. Nawet oświetlacz w filmie. Recenzja, która wpadnie mi w ręce i książka, którą właśnie przeczytałam. Gdybym nie spotkała Wajdy, Hübnera, Warmińskiego — byłabym innym człowiekiem. Inną aktorką. To jest trochę tak, jak w związku małżeńskim. Trudno precyzyjnie wymierzyć, jak i na ile jedna strona wpływa na drugą. Co jej konkretnie zawdzięcza.

● Chciałaby Pani mieć menedżera?

— Od załatwiania korespondencji, telefonów, ustalania szczegółów technicznych — tak. Decydować wolę sama. Nie jestem, jak golem, tworem cudzych rąk i mózgów. Nie chciałabym powierzyć komukolwiek mojego prawa wyboru.

● Artysta zyskuje w Polsce autorytet nie tylko dlatego, że potrafi grać czy pisać. Nie do pomyślenia jest, żeby ktoś, o kim wiadomo, że robi szwindle, stał się gwiazdą. Czy łatwo żyć z tym „moralnym balastem"?

— Myślę, że to już przeszłość. Ale piękna przeszłość. Nie będziemy już ani głosić idei, ani za nie umierać. W normalnym, wolnym kraju nie jest to potrzebne i nikt tego nie oczekuje. Dzisiaj, rzecz jasna, kojarzę się widowni z pewnymi ideami. Do tej pory zawsze wybór artystyczny nakładał się na wybór polityczny. Sama decyzja o współpracy z reżyserem, zespołem oznaczała podpisanie się pod pewną ideologią. Wystąpienie w telewizji w okresie, kiedy była bojkotowana... To za chwilę się zmieni. Wielu kolegów odetchnie. Do takiego traktowania zawodu trzeba było mieć temperament społecznika. Tymczasem niektórzy artyści marzyli o tym, żeby uprawiać tylko sztukę dla sztuki.

● Tymczasem Andrzej Wajda rzucił teatr dla polityki... Byłoby nie w porządku, jak mówi, gdyby nie poszedł na barykady, skoro swoją twórczością zagrzewał do ich budowania. To myślenie bezsensownie romantyczne: Micklewicz też musiał pojechać do Turcji, a Gajcy zginąć w Powstaniu.

— Nazwisko Wajdy było potrzebne, żeby poprzeć pewien ruch. Mógł pomóc i chciał to zrobić. Wynikało to z jego ludzkiej potrzeby.

● A Pani? Dlaczego „pro publico bono" nie została Pani senatorem i nie wzięła się za naprawianie Rzeczypospolitej?

— Nie mam temperamentu działacza. Poza tym myślę, że są inni, mądrzejsi ode mnie. A ja tak lubię grać...

● Czym kieruje się Pani przy wyborze ról?

— Jakością scenariusza. Przyjmuję, jeśli uważam, że ma albo będzie miał znaczenie społeczne, że daje szansę na stworzenie dobrego filmu. Czasem godzę się na przyjęcie roli właśnie dla niej samej — bo po prostu czegoś takiego jeszcze nie grałam. Zdarzało się też, że przyjmowałam ofertę, bo nie miałam pieniędzy.

● Po Lozannie i Cannes przyjechała Pani do Olecka ze spektaklem „Dwoje na huśtawce". I co?

— Dużo śpię, spaceruję po lesie, nad jeziorem. Dawno nie miałam tyle czasu dla siebie. Bardzo tu pięknie. Jeśli chodzi o nasze występy, cóż, scena, na której gramy, jest bardzo mała, musimy zmieniać część sytuacji. Ale gramy, tak jak w Warszawie, powiedziałabym nawet, że staramy się bardziej. Publiczność młoda, świetnie nas przyjmuje, jest bardzo miło. Jeździłam już po Polsce. Dwa lata temu z „Białą bluzką" Agnieszki Osieckiej odwiedziłam prawie wszystkie miasta wojewódzkie, w których są profesjonalne teatry. Takie doświadczenie było mi potrzebne. Sądziłam też, że jestem to winna widzom.

● Jak długo można żyć w takim tempie?

— Nie wiem. To trwa już szesnaście lat, pora kończyć. Przekroczyłam — dzięki Złotej Palmie i serialowi o Modrzejewskiej — granicę popularności. Dzwoni do mnie profesorka z uniwersytetu i dziewczynka ze Złotoryi. Bo chcą porozmawiać, opowiedzieć o sobie. A ja już psychicznie nie mogę tego wytrzymać. Ostatnio udzieliłam pięćdziesięciu wywiadów. Dzwonią „Elle", „Brigitte", „Cinema Francaise" — opowiadam im o sobie przez telefon. Młodsze dziecko mieszka z matką na wsi — ostatnio jakiś reporter uparł się, że musi je sfotografować. A nie życzy sobie tego ani matka, ani ja. Tak więc niektórzy próbują przekraczać krąg mojej prywatności, a ja nie zamierzam być aktorką, która od rana chodzi umalowana, w sztucznych rzęsach i cały czas coś udaje.

● Jest Pani symbolem pokolenia, uosobieniem buntu, który przyniósł owoce...

— Kojarzę się ludziom z sukcesem, a Polakom tak bardzo go potrzeba! Poza tym myślę, że moje role, mimo że są smutne, jak to nazywa widownia, generalnie niosą nadzieję, optymizm.

● Będzie Pani od nas uciekać?

— Zamierzamy wynieść się z Warszawy, zamieszkać z rodzicami o jakąś godzinę drogi od stolicy. Ten ogranicznik czasowy w naturalny sposób ochroni mnie przed pewną ilością zajęć. Przecież ja rzadko mam czas, żeby wybrać się na spacer z własnymi dziećmi! Ale teraz w lipcu, nareszcie mam urlop. Potem zacznie się nowy sezon. Podpisałam kontrakt niemiecki, chcę też zrobić monodram w Teatrze Powszechnym. „Przesłuchanie" będzie miało premiery prawie na całym świecie i przynajmniej na niektórych muszę być, bo tego żądają dystrybutorzy. Przede mną więc kolejny, pracowity rok.

● Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: Bożena Dunat